Rok XXV. We Lwowie, dnia 8. marca 1918. Nr. 10.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 17·— K
półroczna . 9·— „
kwartalna . 4·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 h. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Unia brzeska w Chełmszczyźnie i na Podlasiu.

Wykład na uroczystem zebraniu Uniwersytetu w niedzielę 17. lutego 1918

X. prof. Chotkowskiego.

„*Nessun maggior dolor, che scordar si del tempo felice, nella miseria*“ — niemasz większego bolu nad wspominanie szczęśliwych czasów w nieszczęściu. — Te słowa Dantejskie przychodzą dzisiaj, mimowoli, na myśl, gdy właśnie serca nasze cieszyły się nadzieją i świtaniem lepszych czasów, a spotkało nas tak srogie rozczarowanie. Lecz nic nie może złamać serc, wypróbowanych w nieszczęściach: trzeba służyć i trwać do końca.

Unia Polski z Litwą była koniecznością historyczną, bo ratowała Litwę od zagłady, grożącej z dwóch stron, tj. od Krzyżaków i Moskwy. Węzły łączności, uświęcone krwią pod Grunwaldem, zacieśniały się coraz mocniej, od Horodła do Lublina przez lat 150, bo istotą ich i treścią była wzajemna potrzeba, braterska zgoda i prawda, o której powiedziano, że „trwa, żywie i zwycięża na wieki“. Dzieje tej Unii opisał Szajnocha w dziele p. t.: „Jadwiga i Jagiełło“, a w 300-letnią rocznicę Unii lubelskiej (1869) dał świetne tego dzieła streszczenie Klaczko w „Revue de deux Mondes“ pt. „Les annexions d'autre fois“. Przed kilku laty czytał z tego miejsca Balzer uczoną pracę o rozwoju tej Unii od Horodła aż do ostatnich czasów. Wiekowe klęski i nieszczęścia nie zdołały rozerwać tego połączenią, a da Bóg, że przetrwa i najnowsze próby rozerwania.

Unia Lubelska (1569) miała znaleźć utwierdzenie w Unii Brzeskiej (1596), ogłoszonej bullą Klemensa VIII Magnus Dominus i uniwersałem Zygmunta III a słusznie powiedziano o niej, że była arcydziełem politycznem, bo odrywała duszę Rusi od ducha Moskwy, wyzwalała Ruś od olbrzymiego wpływu Cerkwi prawosławnej w Moskwie i fanaru w Carogrodzie.

Dwa światy stały zawsze przeciwko sobie, t. j. Carogród i Rzym.

Rzym wysyłał Misyonarzy, którzy nieśli narodom światło Chrystusowej Ewangelii, cywilizacyę Zachodu i łacinę, ale zostawiał im nienaruszony charakter narodowy, obyczaj i zwyczaje, tylko że uświęcał je chrześcijańską etyką. Dlatego my jadamy na Wielkanoc ciasta, zwane baby, z tej przyczyny, że praojcowie nasi obchodzili na wiosnę święto bogini żyźności „Baby“, którą czciły ludy Azyi pod różnemi nazwami — a w Anglii dotychczas nosi Boże Narodzenie nazwę pogańskiej bogini. Łacina była niezbędna duchowym, przeto zmuszała ich do nauki w szkołach, czyniła stan ten wykształconym, a przez to i stan podnosiła i jego wpływ na kulturę narodów.

Carogród wszczepiał przez swoich misyonarzy w ludy, któoe nawracali, przedewszystkiem nienawiść do Rzymu, utajoną i podstępną, dlatego zwaną *fides graeca*. Wpajał też w ludy serwilizm, bo sam stał powagą i opieką państwa. Carogrodzki patryarcha tytułował się „ekumenicznym“, dlatego, że miasto było stolicą państwa, zwanego po grecku „ojkumene“. Na tem więc opierał swoje pretensye do równości, a nawet do pierwszeństwa przed Rzymem, chociaż „ojkumene“ już się było rozpadło pod ciosami Turków. Została jednak, po wszystkie czasy, zazdrośna nienawiść do Rzymu i zepsuła charakter ludów, które od Carogrodu misyonarzy przyjęły. Włodzimierz W. przyjął też misyonarzy z Carogrodu, bo oddawali mu w ręce samowładne rządy Cerkwi prawosławnej. Carogród nie żądał też od duchowieństwa znajomości języka greckiego, ani dbał o jego wykształcenie. Zgodził się też na zaprowadzenie liturgii z językiem słowiańskim. Przeto starczyło nauczyć się u ojca, popa żonatego. śpiewania liturgii, żeby już być dosyć mądrym na księdza. Obawiano się, jak to niedawno wywodził Brückner, żeby się synek za wiele nie uczył, żeby się nie „zberetyczył“. Nie mógł też taki kler oddziaływać na kulturę ludu, ale uczył go modlić się za głowę Cerkwi, za cara.

Z chwilą, kiedy car Teodor uzyskał (1588) od patryarchy corogrodzkiego Jeremiasza stolicę patryarszą w Moskwie (jako trzecią po jerozolimskiej), modliła się cała Słowiańszczyzna wschodnio-południowa, za cara moskiewskiego. Ciekawych też rzeczy dowiedzieliśmy się z listu pasterskiego władyki stanisławowskiego, X. Chomyszyna (15. lutego 1916), że w Galicyi nie wymieniano, w liturgii, imienia cesarza Austro-Węgier, tylko używano wyrazu „car“, a tak się nazywał — do ostatnich czasów — cesarz rosyjski. Jeśli siła przyzwyczajenia była tak wielką do ostatnich dni na Rusi Czerwonej, to co dopiero mówić o wpływie patryarszej stolicy w Moskwie na umysły ludu prawosławnego przed trzystu laty na Litwie, kiedy lud był ciemny a metropolita ówczesny Onezyfor Dziewoczka ledwo czytać umiał. Tego też złożył synod w Wilnie r. 1589, tj. następnego roku po ustanowieniu patryarchatu moskiewskiego. Odtąd też rozpoczęły się narady Władyków na Litwie nad zawiązaniem Unii z Rzymem, i trwały siedm lat. Na pomyślny ich przebieg wpłynął biskup łucki, Bernard Maciejowski, późniejszy biskup krakowski, którego zaliczają do najmądrzejszych polskich biskupów — a niemniej i to, że kasztelan włodzimirski Hipacy Pociej, który właśnie owdowiał, został władyką włodzimirskim, odbywszy nowicyat u Bazylianów (1593). On też razem z władyką Cyrylem Terleckim udał się do Krakowa i wyprawieni przez króla Zygmunta III., pojechali do Rzymu, gdzie akt Unii podpisali. Poczem król zapowiedział zjazd do Brześcia, gdzie Unia uroczyście się dokonała (1596).

Nie było przytem ani cienia przymusu tak dalece, że kniaź Konstanty Ostrogski nie tylko sam do Unii nie przystąpił, ale odwiódł od niej dwóch władyków: Bałłabana, lwowsko-halickiego i Kopysteńskiego, przemysko-samborskiego, dlatego Ruś Czerwona, której obszar, po pierwszym rozbiorze, należał do Galicyi, pozostała przez całe sto lat przy cerkwi prawosławnej. Swawoli stały w Polsce wrota otwarte tak dalece, że kniaź Ostrogski chował na swoim dworze w Ostrogu całe tłumy Aryanów i Kalwinów, którzy wydarli 650 cerkwi Rusinom a 600 szlachty ruskiej do innowierstwa przeciągnęli. Kiedy zaś innowiercy z dyzunitami odbywali zjazdy w Wilnie i Toruniu, ofiarował im kniaź Ostrogski — jeźli nie 20, to w każdym razie 15 tysięcy wojska (1599), a Zygmunt III, mając w ręku to pismo księcia, polskiego senatora, czynił mu łagodne wyrzuty.

Obrażona pycha „prymasa Rusi“, za jakiego kniaź ten się uważał, bezbożność heretyków i nienawiść fanariotów Carogrodu, stawały sztorcem przeciwko Unii z Rzymem; lecz Unia była popularna, bo w Wilnie Ruś zawsze chodziła na polskie kazania do Bernardynów, a do św. Kazimierza na Zamek udawała się we wszystkich potrzebach, jak pisze metropolita Weljamin Rutski — nazwany przez papieża „Atanazym Rusi“ — w swojej książce polemicznej p. t. Examen Obrony. Cerkiew była niema — przeto zawsze lud ruski ciągnęła kazalnica polska do kościołów.

Już były stolice biskupie obsadzone władykami unickimi, kiedy wysłany z Carogrodu Teofan zjawił się na Litwie (1620) i wyświęcił schizmatyckich władyków na dziewięć stolic, nie pytając nikogo. Dopiero po niewczasie wysłał za nim król polski listy gończe, kiedy już był za granicami kraju, odprowadzony nawet z honorami! Zawrzało teraz, jak w kotle, na Litwie i Białorusi. Wywiązała się polemika, po której zostały liczne pisma, dziś będące niesłychaną bibliograficzną rzadkością. Brał w niej gorliwy udział, wyświęcony przez Teofana na stolicę arcybiskupią w Połocku, Melecyusz Smotrycki, zwany „polskim Cyceronem“. Aż nagle posiew nienawiści zeszedł krwawym plonem, kiedy 12. listopada 1623 zamordowany został arcybiskup połocki Jozafat Kuncewicz. Krew męczeńska stała się posiewem Unii, dała jej trwałą podstawę. Po półtrzecia wieku (1867) kanonizował go Pius IX i naznaczył Patronem Polski i Rusi. Był też czczony w Polsce, na Litwie, Białorusi, na Podlasiu i w Chełmszczyźnie, bo zwłoki jego spoczywały w Białej, pókl ich stamtąd nie wykradli Moskale. Tylko w Galicyi nie był wcale znany, jak się dowiadujemy ze wspomnianego już listu pasterskiego władyki X. Chomyszyna. Natomiast u Moskali był ten Święty znienawidzony do tego stopnia, że car Piotr sam własną ręką niszczył jego obrazy w Witebsku i Połocku, przy sposobności, o której jeszcze wspomnimy.

W 25 lat po męczeństwie św. Jozafata i utwierdzeniu Unii, wybuchły wojny kozackie, a Żółte Wody zarumieniły się krwią polską w chwili, kiedy Władysław IV konał. — Sprawca tych wojen, szlachcic polski, tyle dbał o Cerkiew, co i o Kościół, bo rabował tak samo cerkwie jak i kościoły, lecz domagał się w układach z Polską przywilejów dla schizmy, dlatego, że mu to podsuwali nasyłani z Moskwy archireje i hegumeny. Ciała tych wywłoków znajdowano na polach bitew. W miarę, jak się staczał w objęcia Moskwy, stawiał też Chmielnicki coraz większe żądania na korzyść schizmy. Po przegranej zborowskiej (1650), gdzie tylko rozwaga Jana Kazimierza odwróciła od Polski ponowienie klęski lignickiej — przyznano schizmie 6 stolic biskupich. W ugodzie hadziackiej (1658) oddawano cały lud unicki w ręce prawosławia, ale mimo to Jurko Chmielnicki poddał się następnego roku Moskwie. Więc nie chodziło Kozakom o prawosławną wiarę, tylko o ten obłęd, który sarkał na ucisk Lachów, a dopiero warunki ugody, stawione przez Moskwę, pokazały, czem był lacki u c i s k, a czem moskiewska w o l n o ś ć. Dlatego duchowieństwo Ukrainy tak dalece potępiało całą sprawę Chmielnickiego, że cerkwie przed nim zamykano w Kijowie.

W półtrzecia wieku później (1888) urządzili Moskale w Kijowie uroczysty obchód zaprowadzenia chrześcijaństwa na Rusi, jako 900-letni jubileusz. Mniejsza o to, że wówczas, gdy Włodzimirz przyjmował chrześcijaństwo, jeszcze wcale Moskwy na świecie nie było, bo założył to miasto Jerzy Dołhoruki w pierwszej połowie XII wieku i stał się kniaziem na Suzdalu, ale najważniejsze było przy tym jubileuszu odsłonięcie pomnika Chmielnickiego na koniu. Nazajutrz rano spostrzeżono na plecach tego bohatera zawieszoną butelkę gorzałki! Był to rzeczywiście pijaczyna, który rozum topił w alkoholu, a osobisty rankor w krwi ojczystej ziemi.

Pokój grzymułtowski (1686) pozbawiał Polskę wielkiego pasa granicznego i całego Zaporoża z Kijowem, ale oswobadzał Ukrainę. Po raz trzeci zapełniła się ta urodzajna ziemia polskim ludem, jak to pięknie opowiedział Szajnocha w swoim szkicu pt. „Zdobycze pługa polskiego“ i by-

aby do dzisiaj polską ziemią, gdyby byli właściciele tamtejszych latifundiów stawiali kościoły zamiast cerkwi i osadzali polskich księży zamiast ruskich. Lecz sprawa zahaczała się o to, że ruski pop był traktowany prawie na równi z chłopem i szedł w pole do roboty, a polski wymagał innych względów i dotacyi. Przeto jeszcze krótko przed pierwszym rozbiorem wystawił Potocki sto nowych drewnianych cerkiewek, ale wyznaczył tak małe uposażenie, że metropolita Wołodkowicz nie chciał święcić tych cerkiewek.

Klęski, które schizma sprowadziła na Polskę w XVIII wieku, sprawiły, że wreszcie dokonała się, po stu latach, Unia brzeska, za staraniem króla Jana III, lecz ostatnia przyjęła Unię dyecezya przemyska za Augusta III na początku XVIII wieku (1702). Metropolita miał rezydencyę w Wilnie, stolicy Litwy, a podlegało mu dziewięciu władyków grecko-katolickich. (C. d. n.).

Działanie wymowy z punktu widzenia psychologii.

(Ciąg dalszy).

Czasem suggestya, zwłaszcza suggestya uczuć, robi na obserwującym wrażenie resonancyi. Płacz drugich nieraz wycisnął innym łzy z oczu, mimo braku świadomości przyczyny płaczu. Śmiech nie mniej jest zaraźliwym jak ziewanie, chociaż wewnętrznego powodu do tych objawów niema. Najczęściej suggestya drogą rozumu przechodzi do zmysłowych władz wewnętrznych, a nawet i zewnętrznych. Że nieraz zdołano coś w człowieka wmówić, o tem wie każdy doskonale.

Mowca ma jedną z najlepszych sposobności do użycia siły suggestyi. Cała uwaga, praca pamięci, rozumu i fantazyi słuchacza skierowana jest ku mowcy. Jeżeli mowca umie uwięzić wszystkie władze duszy słuchacza, wtedy ten postępnje za jego biegiem myśli, znajduje się w kole idei mowcy, puls życia duszy bije u obu jednakowo, równocześnie. To jakby dwa równo nastrojone instrumenty, z których jeden odpowiada żywą resonancyą na głos drugiego. I skoro słuchacz widzi siebie samego w mowcy (w którego bieg myśli został porwany tak, jak prąd małego potoku przez rzekę), nie trudno wytłumaczyć, czemu tak łatwo myśli, pojęcia, przekonania, uczucia mowcy za swoje bierze. Gdy raz taką łatwą drogą dostały się do jego duszy, staną się na przyszłość jego własnością, często nieświadomie i bezwiednie. Wpływ suggestywny mowcy na słuchających może dojść nawet do tego stopnia, że wywoła wprost fizyczne skutki. Miało się to zdarzyć podczas jakiegoś ogromnie interesującego wykładu, że słuchacze z taką natężoną uwagą postępowali za biegiem myśli i wrażeń mowcy, iż ruch ręki mowcy — wszyscy słuchacze, jak na komendę, jak najdokładniej powtórzyli.

Obok suggestyi ze strony mowcy, narażeni są słuchający na suggestyę ze strony towarzyszów, suggestyę „tłumu“. Tej już trudno się oprzeć zwykłym ludziom. — Zdarza się to często podczas kazań misyjnych, gdy płacz jednych tak łatwo udziela się innym.

Obok suggestyi ze strony mowcy i tłumu, narażeni są słuchacze na suggestyę pewnych utartych słów i frazesów. Słyszy się je ciągle, powtarzają je pisma i mowcy; z biegiem czasu nabiera taki frazes jakiegoś magicznego wpływu na dusze. Jakkolwiek ktoś go nie rozumie, przecież przeświadczenie, że tylu o tę zasadę walczy — i to ciągłe obijanie się o uszy jednych słów powoduje jakby osobiste związanie się słuchacza z temi słowami, tak, że one zawsze wpływ swój na jego duszę wywierają. Podczas zaburzeń chłopskich w Niemczech w ubiegłem stuleciu pytano się chłopa pewnego: co rozumie przez „wolność prasy“, o którą się tak rozbija. Odpowiedział, że nie wie wcale, co to ma oznaczać, a jednak chce o tę zasadę walczyć. To była suggestywna siła słów: „wolności prasy“, które to słowa powtarzano tak długo, aż się głęboko zakorzeniły w duszach ludzkich.

Podstawą i głównym powodem suggestyi jest asocyacya wrażeń. Podmiotem wszystkich funkcyi duchowych i zmysłowych jest jeden człowiek, jednolite indywiduum. Także principium wszelkiego działania ludzkiego jest cała natura ludzka. Dlatego żadna z ludzkich czynności nie odbywa się w ten sposób, by absolutnie nie była zdolną wywrzeć wpływu na inne władze duszy. Działanie rozumu pociąga za sobą pamięć i fantazyę — fantazya odtwarza obrazy zmysłowe i tak odbywa się cała działalność wśród wzajemnej zależności od siebie władz pojedynczych. Jakby ogniwa łańcucha połączone są ze sobą wszystkie władze, zdolności i siły duszy, a gdy jedno ogniwo poruszysz, inne ogniwa za poruszonem się ciągną. Temi łączącemi się ogniwami są władze zmysłowe i umysłowe, a tem, co te ogniwa spaja, jest jedna natura ludzka. Cały system nerwowy połączenie tych ogniw ułatwia. Suggestya jest niejako zaczepieniem jednego ogniwa, co sprowadza za sobą poruszenie innych, o ile odpowiednie znajdą się warunki. Suggestya ma tylko to do siebie, że tych ogniw nie zaczepia z początku, ale z końca lub ze środka, jakby kto chciał poruszeniem skutku wywołać ukazanie się przyczyny. — Przechodzi niejako suggestya drogą wsteczną, która dlatego jest możliwa, że jest właśnie już udeptaną przez pochód naprzód. O ile bowiem człowiek od zmysłowego wrażenia dochodzi coraz wyżej aż do umysłowego pojęcia — o tyle znów pojęcie umysłowe w odpowiednich warunkach może prowadzić do zmysłowego czucia lub wrażenia; wraca się niejako tą drogą, którą zwykle wchodziło do duszy. W ten sposób powstaje autosuggestya, a również i suggestya zewnętrzna, w której cudze wrażenie, uczucie, akty, stają się własnemi. Ale na to potrzeba odpowiednich warunków, potrzeba, by wszystkie władze duszy zajęte były jedną myślą, jakby gotowe stały na usługi temu, czem się w danej chwili zajmuje człowiek; inaczej mówiąc, muszą być władze duszy powiązane ze sobą silnem zajęciem się jednym przedmiotem, by można poruszeniem jednego ogniwa wprowadzić w ruch drugie.

Świadomem życiem wewnętrznem kieruje w zwykłych warunkach wola. Ona jest panią domu, bez której wiedzy nic się dziać nie powinno, ona kieruje wszystkiem, tak jak woźnica kieruje końmi. Im silniejsza wola, większa siła wewnętrzna i poczucie świadomości procesów wewnętrznych, tem trudniejszem jest wmówienie w kogoś przekonań, do których on drogą badania nie dochodził,

uczuć bez przeżycia wewnętrznego ich przyczyn, stanów, z których nie zdaje sobie dobrze sprawy — słowem, tem trudniejsza jest suggestya, która bądź co bądź nie stosuje się do zwykłego porządku w duszy. Ale gdy wola słaba, stan nerwowy osłabiony, większy lub mniejszy brak świadomości wewnętrznych stanów, suggestya łatwiej znajduje dostęp do duszy. A gdy człowiek podda się z zaufaniem wszechwładnemu kierownictwu drugiego człowieka, wtedy niejako własna wola wypuszcza cugle z rąk, a bierze je wola drugiego, która już według własnego upodobania tą poddaną sobie duszą kieruje i łatwo wmawia w nią: uczucia, stany wewnętrzne, przekonanie i idee. Takie kierownictwo nad duszami drugich łatwo może zyskać mowca; a kiedy umie zyskać zupełne zaufanie i zupełne poddanie słuchających, potrafi kierować biegiem ich myśli z łatwością, poddawać im pojęcia, obrazy, przekonania, zasady, postanowienia, co w innych warunkach z wielką trudnością tylko dałoby się wprowadzić do głębi ludzkiej duszy, ponieważ do silnych przekonań, głębokich uczuć, wielkich postanowień potrzeba głębszej i dłuższej pracy umysłu.

Do tej suggestyi ze strony drugich — czyli bezkrytycznego przyjmowania i poddawania się wpływowi obcych myśli, zasad, nakazów i ideałów — przyzwyczaiły ludzi przeróżne względy towarzyskie, grzeczności, etykiety, życie socyalne, wymagające koniecznego zdania się na wolę drugich, życie rodzinne i życie w szkole, gdzie (do pewnego okresu wieku) zupełnie racyonalnie panuje zasada: iurare in verba magistri. Zwłaszcza ludzie naszych czasów, wciągnięci w całe szeregi ludzkich zrzeszeń, podatni są bardzo suggestyi zewnętrznej. Ludzie, nie należący do klas związanych silną asocyacyą (n. p. wieśniacy w przeciwieństwie do zorganizowanych robotników), czują się stanowczo samodzielni i niezależni od drugich, chociaż — jak n. p. wieśniacy — niższe zajmują stanowisko od niejednego robotnika. Natomiast ludzie, należący do ściśle zorganizowanej klasy, mają przewodników, którzy za nich myślą; zresztą z konieczności, jakiej wymaga zrzeszenie, muszą się poddać kierownictwu, tracą poczucie samodzielności, a co zatem idzie — stają się mniej odpornymi dla suggestyi.

Aby kaznodzieja mógł korzystać z tej potęgi suggestyi, musi się starać mówić z przekonaniem, w sposób objawiający silną wolę i energię, w sposób interesujący, by słuchacze nieświadomie poddali się jego wpływowi. Jeżeli spełni te warunki, będzie mu suggestya potężną pomocą do osiągnięcia celu.

Inną charakterystyczną cechą „tłumu“ — to jego zmienność. Zbyt znane porównanie niedzieli palmowej z wielkim piątkiem, — ale jest tak charakterystyczne, że jeszcze raz przypomnieć to można.

Chyba nie widziało jeszcze miasto Jeruzalem takiego tryumfu, — jak w tę niedzielę palmową. Potężni cesarze rzymscy w tryumfie wjeżdżali na Kapitol — ze złotym wieńcem na głowie, wśród okrzyków ludu, ale ta tryumfalna droga cezarów — kropliła się perłami łez ludzkich i krwią nieszczęśliwych, podbitych narodów. Chrystus Pan wstępował do Jeruzalem w tryumfie zgotowanym Mu przez tłumy, którym tak ogromnie dużo dobrego uczynił. Brzmiało radosne ludu; „Hosanna“, — brzmiał okrzyk radości i tryumfu, aż kapłani i faryzeusze musieli drżeć z obawy — co z tego dalej będzie — a poważne twarze rzymskich legionistów marszczyły się zapewne zdumieniem i obawą przed groźną potęgą uniesionych zapałem tłumów.

A za dni parę ten sam tłum — na widok tego samego Chrystusa, którego z takim tryumfem witał, burzył się złowrogo i ryczał setnymi głosami: „Ukrzyżuj Go“! — „Ludu mój ludu — cóżem ci uczynił“?

Cichy Baranek, wiedzion na zabicie, stanął przed oczyma ludu ubiczowany, skrwawiony i ledwie żywy. A tłum wciąż krzyczał: „Ukrzyżuj Go“! — Oto stałość tłumu. I niestety podobna historya, tylko nie w tak brzemiennych w skutki i wszechświatowe znaczenie rozmiarach, powtarza się często w przebiegu dziejów.

Sama już konieczność biernego zachowania się u „tłumu“ — narażać musi tych ludzi na pewną niecierpliwość. Niecierpliwość jednych — łatwo się drugim udziela, przeto ta wada jest jedną z najczęstszych w „tłumie“. A biada mowcy, gdy już słuchacze cierpliwość tracą. Końcowa niecierpliwość u słuchających — może poburzyć wszystko, co mowca nakładem czasu i pracy zbudował.

Zdaje się, że w naturze ludzkiej więcej jest skłonności do obawy, niż do nadzwyczajnej brawury. „Tłum“ łatwiej ulega panice niż uczuciu nieustraszonej odwagi. Mowca może więc silniej wpływać na „tłum“ motywami obawy, niż tymi, co pobudzają do pełnej zaufania w siebie nadziei.

Z braku głębszej, rozumowej pracy, w której słuchacze czują się dostatecznie zastąpieni przez mowcę, wynika u tłumu nie liczenie się ze siłami i możliwością praktyczną, osiągnięcia pewnych idei i celów. Z tego samego źródła wynika też i brak poczucia odpowiedzialności u „tłumów“. Każdy sądzi, że odpowiada za wszystko „tłum“, a nie on pojedynczy, bo on robi tylko to, co inni. Zapomina, że właściwie inni robią tylko to, co on robi.

Zaznaczyć wreszcie wypada (co historya potwierdza), że tłumy dają się uwieść łatwo i łatwiej niż do dobrych czynów, do czynów występnych, do działalności burzycielskiej. Wogóle łatwiej jest burzyć niż budować, mniej trudu kosztuje zniszczenie niż wytworzenie czegoś, tem bardziej tłum da się użyć czasem do złych czynów, bo jest siłą bierną — i jest jak ta rzeka, co łatwiej potrafi burzyć wały i tamy, niż wykonywać potężne prace. Ale i te wykonać jest zdolna; potrzeba tylko wielkiego umysłu, który potrafi wykorzystać jej siły, aby się stała dobrodziejstwem dla ludności kraju.

(C. d. n.). *X. Dr. Julian Piskorz.*

Karne prawo kościelne.

(Ciąg dalszy).

9. Kary właściwe.

Celem kar właściwych jest pomszczenie występku, dlatego można je nakładać niezależnie od okoliczności, czy przestępca się poprawił, czy też trwa w uporze. Kara jest odpłatą za winę, złem za złe, odwetem za nadużycie.

Ponieważ występek narusza moralny porządek społeczeństwa, przeto, aby przywrócić jedność i równowagę społeczną, musi jego sprawca odnieść ranę, jaką poprzednio zadał społeczeństwu. W ten sposób ból jednostki stanie się lekarstwem dla ogółu. Dobro tedy powszechne jest bezpośrednim celem właściwej kary, nie zaś poprawa jednostki, jakkolwiek i ta nie jest wykluczoną; can. 2286: „poenae vindicativae illae sunt quae directe ad delicti expationem tendunt, ita ut earum remissio e cessatione contumaciae delinquentis non pendeat".

Od wyroku nakładającego karę przysługuje apelacya ze skutkiem zawieszającym. Jeżeli przeto kara taka zostanie nałożona, a ten, kogo ona dotyczy, uważa się za pokrzywdzonego i z tego powodu wnosi apelacyę do wyższej instancyi, w tym razie przed rozstrzygnięciem nie jest obowiązany poddać się tej karze. Skoro ktoś po raz pierwszy dopuścił się jakiegoś przestępstwa, za które został skazany wyrokiem, w tym wypadku sędzia może odwlec egzekucyę wyroku, jeśli delikwent dotąd żył uczciwie, a wymierzona kara nie jest degradacyą, depozycyą, pozbawieniem oficyum, lub beneficyum, a zwłoka w odbyciu kary nie wywołałaby zgorszenia. Gdyby atoli ten sam przestępca w ciągu najbliższych trzech lat, taki sam lub podobny postępek popełnił, za który również został skazany, wówczas musi się poddać jednej i drugiej karze. Właściwa kara wtedy ustaje, kiedy dotknięty nią odbył ją, albo od prawowitej władzy otrzymał dyspenzę. W wypadkach tajnych i nie cierpiących zwłoki, gdyby z powodu poddania się karze właściwej — latae sententiae — miało nastąpić zgorszenie lub zniesławienie, wówczas każdy spowiednik — in foro sacramentali — może ją zawiesić, zobowiązując penitenta, by w ciągu miesiąca, czyto bezpośrednio, czy za pośrednictwem spowiednika odniósł się do Penitencyaryi, lub do biskupa. Penitent następnie ma zastosować się do ich poleceń (can. 2290). W nadzwyczajnych jednak wypadkach, kiedy to odwołanie się jest niemożliwem, sam spowiednik może udzielić dyspenzy, podobnie, jak przy cenzurach.

Jedne kary właściwe dotyczą osób świeckich i duchownych, inne zaś w szczególniejszy sposób tylko duchownych. Kanon 2291 wymienia następujące właściwe kary, które mogą być stosowane do wszystkich wiernych, w stosunku do wielkości ich przewinienia:

1. Interdykt miejscowy lub interdykt rzucony na społeczność, albo na pewne kollegium, bądź bezterminowy, bądź na pewien przeciąg czasu.

2. Interdykt ab ingressu Ecclesiae, w tych rozmiarach, jak poprzedni.

3. Przeniesienie lub zniesienie stolicy biskupiej lub probostwa. Jeśli np. mieszkańcy pewnej parafii dopuszczają się pewnych występków i mimo upomnień trwają w złem, wówczas biskup może za karę przenieść probostwo do innej miejscowości, np. z jednej wsi do drugiej. To przeniesienie pociąga za sobą między innymi i ten karny skutek, że parafianie muszą np. dłuższą przebyć drogę, by dostać się do swego probostwa. Przed przeniesieniem parafii do innej miejscowości, biskup ma zasięgnąć zdania kapituły, jednak nie jest niem związany.

4. Infamia iuris.

5. Odmówienie pogrzebu chrześcijańskiego.

6. Odmówienie sakramentaliów.

7. Odebranie lub zawieszenie na pewien czas pensyi, którą ktoś pobiera z dóbr kościelnych, albo pozbawienie przywilejów kościelnych.

8. Usunięcie od prawnych aktów kościelnych.

9. Niezdolność do otrzymania łask, lub pewnych przywilejów w Kościele, albo stopni akademickich, które Kościół nadaje.

10. Pozbawienie urzędu, lub zawieszenie na pewien czas otrzymanej władzy.

11. Odjęcie prawa precedencyi, lub głosu czynnego, albo biernego, lub prawa używania tytułów honorowych, np. pewnych odznak na szatach.

12. Kary pieniężne, czyli grzywny.

Infamia może być albo: iuris albo facti. Pierwsza odnosi się do wypadków w prawie ściśle określonych, druga zaś wtedy ma miejsce, kiedy ktoś za dokonane przestępstwo, lub z powodu gorszącego życia utraci dobre imię w oczach społeczeństwa. Ocena, czy w danym wypadku nastąpiło zniesławienie, należy do Ordynaryusza. Ani pierwsza infamia, ani druga nie przechodzi na krewnych zniesławionego, wyjątek zachodzi tylko co do proboszcza, którego krewni w danej miejscowości ściągnęli na siebie niesławę. Infamia krewnych może być powodem do pozbawienia beneficyum, a raczej do przeniesienia plebana z danej miejscowości do innej (can. 2147). Nad kim zawisła infamia iuris, ten jest irregularis, nadto jest niezdolnym do otrzymania beneficyów, oficyów i godności kościelnych, nie może spełniać aktów prawnych, należy mu też zakazać wykonywania funkcyi kościelnych (can. 984). Podobne skutki pociąga za sobą infamia facti. Od infamii iuris udziela dyspenzy wyłącznie Stolica Apostolska, natomiast infamia facti zostaje zmazana, skoro zniesławiony życiem uczciwem udowodni, że rzeczywiście poprawił się i że dlatego odzyskał dobre imię.

Grzywny, któremi prawo powszechne pozwala karać winowajców, mają być obrócone na cele pobożne lub humanitarne, np. na budowę kościołów, na zakupno książek dla kleryków, na wsparcie ubogich, nie mogą być jednak użyte na korzyść Ordynaryusza, lub też kapituły; can. 2297: mulctas pecuniarias... Ordinarii locorum erogare debent in pios usus, non vero in commodum mensiae episcopalis aut capitularis.

Właściwe kary, które prawo powszechne pozwala nakładać wyłącznie na duchownych, są następujące:

1. Zakaz spełniania funkcyi kościelnych, z wyjątkiem oznaczonego kościoła, n. p. można spowiadać, ale tylko w pewnym kościele, w tej wsi, a nie w innej.

2. Suspenza bezterminowa lub na pewien czas określony.

3. Przeniesienie z beneficyum lepszego na gorsze.

4. Pozbawienie jakiegoś prawa, związanego z pewnem beneficyum lub officyum; n. p. beneficyat jest przewodniczącym jakiegoś stowarzyszenia w parafii istniejącego, za karę można go tegoż pozbawić.

5. Niezdolność (inhabilitas) na wszystkie lub na pewne beneficya, officya, godności, lub urzędy kościelne; n. p. nie może zostać proboszczem w ogólności lub pewnej parafii, profesorem.

6. Pozbawienie za karę beneficyum lub officyum, z zatrzymaniem pensyi lub bez niej.

7. Zakaz przebywania w pewnej miejscowości lub na pewnem terytoryum; n. p. w obrębie danej parafii nie pozwala się mieszkać.

8. Nakaz przebywania tylko w pewnej miejscowości. Jeśli ta miejscowość leży w innej dyecezyi, w tym wypadku musi się zgodzić na to tamtejszy Ordynaryusz, chyba że obwiniony mieszkałby w domu poprawy, przeznaczonym nie tylko dla dyecezyan, ale i dla obcych, albo gdyby to był dom wyjęty z pod jurysdykcyi Ordynaryusza (can. 2301).

9. Pozbawienie prawa, na zawsze lub na pewien czas, noszenia szat duchownych.

10. Depozycya.

11. Degradacya.

Beneficyat może być pozbawiony „beneficium inamovibile" tylko z powodu wypadków ściśle w prawie określonych, zachowane jednak być muszą wszystkie formalności prawa procesowego. Beneficyaci mogą być także pozbawieni prawa wykonywania pewnych czynności, związanych z ich urzędem, n. p. przez pewien czas nie może spowiadać, miewać kazań. Nie można jednak odebrać beneficyatowi tego beneficyum lub pensyi, które stanowią tytuł jego święceń, z wyjątkiem wypadków ściśle określonych, na które ustawodawca nakłada karę depozycyi, chyba że otrzyma inne środki do życia.

Jeśli duchowny mimo upomnień dopuszcza się zgorszenia, a nie można tego w inny sposób naprawić, Ordynaryusz może mu zabronić na pewien czas noszenia sukni duchownej, a wtedy nie wolno mu spełniać żadnych funkcyi kościelnych, traci on też przywileje przyznane duchownym. W tym też razie ten duchowny może być nawet uwięziony przez sędziego świeckiego bez pozwolenia zwierzchności duchownej.

Depozycya jest to właściwie bezterminowa suspenza ab officio, połączona z niezdolnością na wszelkie officya, godności i urzędy kościelne. Pociąga ona za sobą i ten skutek, że deponowany traci równocześnie beneficya kościelne, chociażby stanowiły one jego tytuł święcenia. Deponowany jednak jest obowiązany spełniać obowiązki wynikające ze święceń, nie traci on też przywilejów, związanych ze stanem duchownym. Aby jednak nie był zupełnie pozbawiony środków do utrzymania, Ordynaryusz raczej z miłosierdzia ma mu przyznać jakieś dochody; can. 2303 § 2: si clericus vere indigeat, Ordinarius pro sua caritate, quo meliore modo fieri potest, ei providere curet, ne cum dedecore status clericalis mendicare cogatur. Depozycya może być stosowaną tylko w wypadkach prawem oznaczonych (o czem niżej). Jeżeli jednak duchowny nie chce się poprawić i mimo upomnień Ordynaryusza trwa w uporze, wówczas ten może mu zabronić noszenia na zawsze szat kościelnych, a to pociąga za sobą utratę przywilejów duchownych. W tym też wypadku Ordynaryusz nawet z miłosierdzia nie jest obowiązany starać się o jego utrzymanie. (C. d. n.).

X. Grabowski.

Z twórczości rewolucyjnej Gorkiego.

(Ciąg dalszy).

W czasie zaburzeń ulicznych, młody student Misza dostał się za kratę. Sama cela, porządki więzienne, strażnicy, milczenie bez końca, wszystko to nie wydało się mu od pierwszej zaraz chwili, ani ciężkiem, ani strasznem, wobec ponurych opowiadań o więzieniach, jakich nasłuchał się w swojem życiu niemało. Na samo wspomnienie o owych opowiadaniach uśmiechał się pogardliwie, kwalifikując opowiadających jako zdeklarowanych neurasteników. Przyjemność prawdziwą sprawiała mu świadomość, że nie odczuwa ciężaru więzienia, że serce jego uderza równomiernie i spokojnie.

Zresztą zaledwie dwie osoby zmartwią się jego aresztowaniem: najprzód tedy stara jego gospodyni, która zapewne nie pomyśli, ażeby przysłać mu pościel, bieliznę i obiad, a nadto siostra w Kałudze nastraszy się porządnie. Ją wszelako uspokoi rychło szwagier. Poza nimi nikt się o niego nie zatroszczy.

Ależ bo Misza był wcale pospolitym studentem! Mało czytał i jeszcze mniej widział. Aż do rozpoczęcia studyów uniwersyteckich życie jego upływało nudnie w surowym domu siostry i jej męża i Misza czuł się zupełnie obcym wśród owych studentów, którzy swobodnie i z zapałem omawiali rozmaite kwestye społeczne. Ogólna fala niezadowolenia z życia tknęła wprawdzie i jego duszę i obudziła w niej nieokreślone pragnienie protestu. Nie miał jednak jeszcze czasu, ażeby zrozumieć, w jaką właściwie stronę należałoby ów protest skierować. Obecnie, kiedy uważał się za bohatera, przeżywał z chciwością młodzieńca nieznane wrażenia, zapełniając niemi młodzieńczą, prawdziwie bogatą siłę wrażliwości. Pomimo to wszelako, kiedy powracał z codziennej półgodzinnej przechadzki na podwórzu więziennem, nagle topniały wszystkie jego marzenia, wszystkie uczucia, a powstała w sercu niezwykła pustka i młodzieniec drętwiał w jakimś półśnie pogrążony.

O rozpacz wprost przyprawiał go brak rozmowy z ludźmi... Jedynym człowiekiem, z którym mógł w nocy pogawędzić, był stary, ospowaty dozorca, nazwiskiem Oficerów, syn nieprawy jakiegoś oficera. Kiedy jednakowoż opowiedział raz Miszy, jak zdradził jednego więźnia, który zamierzał wyłamać kratę więzienną, jak pilnie dozorował swego siostrzeńca, skazanego za morderstwo, — noce bezsenne obejmowały głowę studenta.

Z więźniami politycznymi nie było sposobu porozumieć się. Byli to, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, robotnicy. Rośli, silni, licho odziani, spoglądali na wszystko ponuro, ukradkiem. Na chudych wygłodniałych twarzach tych ludzi malował się wyraz jakiejś mocnej nieugiętości i coś, co przypominało gonione wilki, było w nich jakby wyrzeźbione. Miał wielkie zainteresowanie i poważanie dla tych ludzi; zauważył też, że i aresztanci kryminalni przypatrywali się im z takiem samem zainteresowaniem. Nawet dozorcy i cały zarząd więzienny, zachowywali się wobec nich z ostrożnością i szczególnymi względami.

Miszy podobał się szczególniej pewien człowiek, coś w rodzaju politycznego, o którym mówiono, że często „bywa“ w więzieniu, a nie „siedzi“.

— „Ten człowiek niczego się nie boi — oświadczył raz Oficerow. — Każdemu potrafi powiedzieć prawdę w oczy, prokuratorowi, dyrektorowi. Raz tu przyjechał wice-gubernator — temu to już dał porządnie! Ja — powiada — myślę tak a tak; pan znowu myśli inaczej — to wszystko swoją drogą — ale szanować się mu..my nawzajem, bo ja jestem człowiekiem... a i pan także jest człowiekiem... poza tem wszystko inne jest niepewne. Mundur niczego nie dowodzi! Dostał za to tydzień więzienia celkowego, ale on śmiał się z tego, mówiąc: To absolutnie niczego... nie dowodzi... to jest poprostu — wielkie głupstwo!... no, bo i czegoż więzienie celkowe mogłoby dowieść?... I słusznie — dorzucił Oficerow. Jeżeli ja panu powiem prawdę, a pan mnie za to w pysk — to przez to prawda nie przejdzie na pańską stronę“.

Pod wpływem ohydnych bójek, jakie staczali pomiędzy sobą więźniowie kryminalni, „czyn bohaterski“ Miszy zmalał teraz w jego oczach, przedstawiał się mu niedorzecznym. On zaś sam przedstawiał się sobie, jako komiczny studencina, wymachujący niezręcznie ramionami, wśród tłumu ludzi, zawstydzonych swoją niemocą, zmieszanych łatwością, z jaką ich ubezwładniła brutalna, mechaniczna, lecz dobrze zorganizowana siła. A dalej nasunęło się własną mocą pytanie, czy w owym demonstrującym tłumie byli ludzie? I odpowiedź wypadła przecząco. Nie — to nie są ludzie! Po ziemi chodzą dziwnie litośni wykonawcy obcej woli. Ledwie pojmują to, co wykonują obojętnie, a żaden z nich nie ma odwagi, żaden nie ma dość siły na wymówienie dumnego ludzkiego słowa: Nie chcę! Więzienie nosi w sobie każdy z tych ludzi, a wszystko to, co ich otacza, jest również więzieniem...

Bo życie — rozumował dalej Misza — jest twarde i nielitościwe, życie jest walką, niewolników o wolność i panów o władzę... i dlatego życie nie może być miłem i spokojnem, nie może być dobrem i pięknem, dopóki są panowie i niewolnicy. Dopóki władcy życia będą oddawać się wybrykom swojej potęgi, a niewolnicy wybrykom swojej uległości poddańczej, dopóty życie nie będzie ani sprawiedliwe ani piękne. Życie będzie napełnione przerażeniem i srogością, dopóki ludzie nie zrozumieją, że w równym stopniu szkodliwe i haniebne są: panowanie i niewola.

Takiem rozumowaniem popadł w sprzeczność z samym sobą. Wszakżeż on w gruncie rzeczy nie był ani panem, ani niewolnikiem !...

Nie inną ideą przesiąknięty jest obrazek p. t. „Sobaka“, zajmujący dwie stroniczki druku... Bo Gorkij lubi czasami wyrażać się lakonicznie, pozwalając czytać dowoli między wierszami. Istotnie — krótkość jest niepospolitą zaletą, tem większą dla wielomównego z natury Maksyma.

Rzeczywiście „Sobaka“ — pies to pospolity. ale autor włożył w niego symbol potężny w rozumieniu własnem.

Autor szedł raz polem. Był wieczór wonny, cichy, księżycowy, rozkoszny. I spotkał psa ze spuszczonym ogonem, najeżoną sierścią na grzbiecie. Pies był wynędzniały, głodny. Po kilku dniach ujrzał go znowu. Pies leżał martwy, a nad cielskiem jego unosił się rój czarnych much. Z wyciągniętą szyją i wyszczerzonymi, żółtymi zębami, spoglądał pies martwem, suchem okiem w stronę miasta. Autor rzucił psu parę słów pochwały, że postąpił jak mędrzec, uznawszy, iż czas mu zdechnąć i że „odszedł precz od życia“ we właściwej porze. „Jakżeż chciałbym wyrazić tę samą pochwałę — powiada na zakończenie obrazka — mnóstwu ludzi pół-umarłych, zatruwających życie nasze wonią swojej zgnilizny, jakżebym chciał, żeby sobie z ciebie, psie, wzięli przykład?!“.

I któż to ci, którym Gorkij radzi postąpić za przykładem owego psa?...

Nie trudno domyśleć się. To ci, którzy nie chcą pójść na lep bosiackiej propagandy anarchizmu, pomni ideałowi przeszłości, i dlatego „zatruwają“ życie rozmaitym apostołom wolności, o jakiej nawet w wolnej, republikańskiej Ameryce słuchać nie chciano.

Burżuazyjni Jankesi!

Nie znaleźli oni łaski w oczach pisarza, który chciał chorobę społeczną Rosyi uleczyć morzem płomieni. Gorkiemu marzy się wizya rozkoszna w „Królestwie nudów“. Nie może znieść powagi i sztywności Amerykanów, ich zabaw wesołych, parków przestronnych, zalanych potokami światła elektrycznego. „Chciałoby się, — wyznaje szczerze — podpalić wspaniałość tę całą!“...

Co się tyczy wesołych przyzwoitych zabaw ludowych, to i w tej mierze ma Gorkij odmienne gusta. I — jak przystało na „russkawo czełowieka“, konkluduje: — „Chciałoby się zobaczyć człowieka pijanego, z wesołą twarzą, któryby szedł, potrącał przechodniów, śpiewał, wrzeszczał, szczęśliwy, że oto upił się i wszystkim dobrym ludziom szczerze tego życzy“...

Tymczasem w republikańskich Stanach Zjednoczonych tego rodzaju indywidua podchmielone pakują do aresztów. Nie tak, jak w Rosyi- matuszce!... To też Amerykanie budzą w Gorkim wstręt nieopisany. Wszakżeż to — pospolici zjadacze chleba:

— „Chciałoby się — woła — podpalić całą tę wspaniałość i wściekle wesoło tańczyć, krzyczeć i śpiewać wśród bujnego igrzyska różnobarwnych języków żywych płomieni, na upajającej słodko uczcie zniszczenia martwej wspaniałości ubóstwa duchowego“...

Najsilniej wyraziła się ta nienawiść do kultury światowej w „Mieście Żółtego Dyabła“, gdzie Gorkij propaguje wprost, bez najmniejszych ogródek, anarchizm. Oburza się najprzód w tym utworze na pomnik wolności, potem na samo miasto i jego mieszkańców, na kolejkę powietrzną, na restauracye, słowem, na wszystko — nie wyłączając stójkowych, żujących ustawicznie tytoń. Podczas czytania tego utworu ma się wrażenie, jakoby mieszkańcy Nowego Jorku byli ludźmi bezdusznymi, jakoby w ich piersiach zamiast serca był kilogram złota... Miasto martwe... przeklęte!... Miasto złota!...

Znamienity podróżnik znalazł w niem jednego tylko „człowieka“...

I cóż to był za „człowiek“?

— „Pod latarnią stoi młodzieniec i co chwilę potrząsa głową, zacisnąwszy silnie swoje mocne zęby. Zdaje się mi, że wiem, o czem myśli, czego pożąda? Pragnie mieć ręce olbrzyma o straszliwej sile i skrzydła u ramion. A to dlatego, żeby kiedyś wznieść się ponad miastem, zapuścić w nie ręce, jako dwie olbrzymie dźwignie stalowe i zmieszać w niem wszystko w kupę śmiecia i pyłu: cegły i perły, złoto i mięso niewolników, szkło i milionerów, błoto, idyotów, świątynie, zatrute błotem drzewa i te głupie, wielopiętrowe „drapacze nieba“, wszystko, całe miasto razem, w cieście z błota, z krwi ludzkiej — zamienić w ten pierwotny chaos, z którego powstało“...

I gniewa go jedno głównie. To złoto, złoto i jeszcze raz złoto, które przewala się tutaj bałwanami oceanowymi! Ono przyprawia go o nienawiść dziką do tych wszystkich, którzy posiadają cokolwiek. Przeklęci niech będą oni wszyscy co do jednego! Błogosławiony za to niechaj będzie ten, co nie zaznał dobrobytu, ten, co ciężko, w pocie czoła pracuje na chleb powszedni. Jego bowiem jest, a przynajmniej będzie — królestwo na ziemi. On pójdzie odważnie burzyć wszystko, niszczyć wszystko tak, jak to czynił ongi wódz Hunnów Atylla lub okrutni Rzymianie, co spełniając przepowiednie proroków, nie zostawili w nieszczęsnem Jeruzalem kamienia na kamieniu... Za takie Jeruzalem uważa Gorkij dzisiejszą Rosyę...

(C. d. n.). *Dr. Stanisław Zdziarski.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Jubileusz kapłański X. Arcybiskupa Dalbora. Dnia 25. lutego b. r. Najprz. X. Arcybiskup gnieźnieński i poznański Dr. Edmund Dalbor obchodził dwudziestopięciolecie swych święceń kapłańskich, w ciszy i w skupieniu, w Zakopanem, w domu zdrowia dla kapłanów zwanym Księżówką. Przebywający tam księża kuracyusze z przeróżnych dyecezyi i okupacyi (Zakopane jest w zimie jeszcze piękniejsze i zdrowsze niż w lecie), złożyli Dostojnemu Jubilatowi życzenia przez usta X. Mateusza Jeża z Krakowa, którego przemówienie zamieszczamy tutaj, solidaryzujące się z niem w zupełności:

Najdostojniejszy Arcypasterzu!

Zdala od swych ukochanych archidyecezyi, zdala od swych drogich stron rodzinnych, w tem zaciszu tatrzańskiem święcisz swe srebrne kapłańskie gody! A jednak święcisz je na polskiej ziemi, wśród polskiego kleru, który choć przynależny do różnych dyecezyi, z najgłębszą czcią i z najwyższym szacunkiem spogląda na Ciebie jako na następcę św. Wojciecha, jako na Prymasa Polski i urodzonego Legata Stolicy apostolskiej, a w twych archidyecezyach czci kolebkę naszej wiary świętej i bytu naszego narodowego, kolebkę tem nam dziś droższą, że tak jest zagrożona i uciśniona. Szczęśliwi się czujemy, że danem nam było w tym dniu tak dla Ciebie drogim, znaleźć się w Twojem towarzystwie i składamy Ci w imieniu własnem i w imieniu całego duchowieństwa polskiego, które z pewnością w duchu z nami się w tej chwili jednoczy, najszczersze i najserdeczniejsze życzenia, aby Bóg, który dzierży w swej wszechmocnej dłoni losy jednostek i narodów, a który Cię powołał na tak wysokie i trudne stanowisko — obsypywał Cię najobfitszemi łaskami i pozwolił Ci dożyć nietylko podobnego jubileuszu arcybiskupiego i złotych godów kapłańskich, ale także lepszej doli dla Ojczyzny naszej i Kościoła naszego!

X. Arcybiskup, widocznie rozrzewniony, podziękował serdecznie wszystkim, życząc jednym doczekania podobnego jubileuszu kapłańskiego, a drugim, którzy go już obchodzili, doczekania sekundycyi kapłańskich.

Pacyfizm katolicki we Francyi 1859 — 1914. Od początku wojny Papież Benedykt XV. czyni, co może, aby nakłonić walczących do rozpoczęcia rokowań pokojowych, ale dotąd nie usłuchano jego głosu. Także ostatnia nota jego pokojowa nie zdaje się mieć większego powodzenia. Wprawdzie mocarstwa centralne zasadniczo godzą się na przewodnią myśl noty papieskiej, aby przyszły porządek świata opierał się na moralnej powadze prawa, ale Francya, zdaje się, nie pragnie jeszcze zawarcia pokoju; — nawet pisma katolickie, oceniając intencye Papieża, sądzą jednak, że wojna jeszcze się nie skończy.

Był jednak okres, kiedy katolicy francuscy zajmowali wybitne stanowisko w akcyi pokojowej. Było to podczas drugiego cesarstwa, na parę lat przed kampanią francusko-niemiecką z roku 1870 — 1871. Wielu Francuzów było zniechęconych wojnami Napoleona III. Gdy ten sięgał po władzę, wygłosił w Bordeaux wielką mowę polityczną. Odpowiedział tym, którzy się obawiali, że podobnie jak Napoleon I. będzie staczał liczne wojny: „Cesarstwo to pokój“. Przedsięwziął jednak wkrótce kampanię przeciw Rosyi (1853 — 1855), wojnę przeciw Austryi (1859) w celu oswobodzenia Włoch, ekspedycyę do Syryi w obronie chrześcijan przeciw Turkom, wreszcie wojnę z Meksykiem w roku 1862.

Wojen tych można było uniknąć; wtedy powstały we Francyi nawet ligi pokojowe, do których przystąpiło wielu księży i katolików świeckich.

Między duchownymi francuskimi, pragnącymi rozszerzyć ideę trwałego pokoju, najgłośniejszym bez zaprzeczenia był O. Gratry. Były uczeń szkoły politechnicznej, która jest najsławniejszą szkołą techniczną francuską, wyrzekł się wspaniałej przyszłości i wstąpił do nowego zgromadzenia Oratoryanów. Był przyjacielem Lacordaire'a Montalembert'a i całego szeregu osobistości wybitnie katolickich, wywierających wówczas tam wielki wpływ na młodzież.

Niektórzy katolicy sądzili, że nie wypada księdzu zabierać głosu na zgromadzeniach publicznych zaraz po rabinie lub pastorze protestanckim. Zarzucono O. Gratry'emu zbyt daleko posunięty liberalizm. Inni mniemali, że był tylko utopistą, jak wielu ludzi zanadto wrażliwych. O. Gratry nie zaprzeczał, ale był przekonany, że myśli jego zgodne były z ideą chrześcijańską. Była to dusza spokojna i szlachtna; pragnął usunąć wszelkie wojny, a nawet namiętne spory między jednostkami. Mówił np., że pisarze katoliccy powinni unikać nawet słów przykrych, raniących. W walce umysłów chciał wprowadzić nowy czynnik dobroci idealnej. Sądził on, że pisarze, posłani przez Chrystusa, mogliby spróbować nowego rodzaju polemiki, polemiki ewangelicznej. Nowy ten rodzaj opierałby się na słowach Chrystusa: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiędą ziemię. Naśladujcie Pana naszego w niebiosach, który spuszcza rosę na dobrych i na złych“. Twierdził, że ludzi opanowanych namiętnością, ludzi pozbawionych wiary, nawrócić można tylko dobrocią. Wielu miesza tę cnotę ze słabością i mniema, że ona dowodzi bezsilności. To nieprawda. Nic nie jest silniejszem i bardziej nieugiętem jak łagodność.

Nic dziwnego, że pisarz, ożywiony takiemi uczuciami, stał się przeciwnikim gorącym wojny między narodami cywilizowanymi. Opisał w jednej ze swych ksiąg, wedle opowiadania naocznego świadka, widok, jaki się przedstawiał po krwawej bitwie między Włochami i Francuzami z jednej a Austryakami z drugiej strony, bitwie pod Sol-

ferino. Są to tak smutne opisy, że nie mam odwagi ich przytoczyć.

O. Gratry nie pragnął zniesienia armii. Lubił przytaczać słowa biskupa Dupanloup, wygłoszone w mowie żałobnej na pogrzebie generała de Lamoricière: „Ubolewam nad bolesnymi skutkami wojny i proszę nawet codzień Boga o jej usunięcie ze świata, ale któż jednocześnie nie podziwia wojska“?

Zachwycał się męstwem żołnierzy, którzy się nie boją śmierci. Nie chciałby zmniejszyć tej cnoty, ale pragnąłby zastosować ją do celu bardziej wzniosłego. Nazywał on to „przemianą odwagi“. Ludzie, bogato wyposażeni przez Boga w cnotę męstwa, nie będą okazywali jej jedynie w walkach z bliźnimi. Dziki nie zna innego zajęcia godnego jego pojęć, jak tylko wojnę z plemionami sąsiedniemi. Lecz my, wychodzący z okresu barbarzyństwa, powinniśmy inaczej sądzić. Nie zawiele mamy ludzi młodych, mężnych, szlachetnych, mogących zwalczać w każdym narodzie głód, nędzę, ciemnotę, występki, chorobę, wszystkie te ciągle się powtarzające się klęski.

Broniąc swego poglądu, powoływał się na Biblię: „Co wyraża prorok Izajasz, mówiąc o tych, którym Bóg za okazanie męstwa obiecuje skrzydła orle i siłę niezwyciężoną? Co sądzi prorok, wzywając ludzi do przemiany w swem łonie odwagi, wyraża on w tem miejscu, gdzie przepowiada przyjście Jezusa Chrystusa, który ma uczyć narody, że miecze mają przekuć na lemiesze, a włócznie na sierpy (Iz. II, 4). — Czyż to nie czas, dodawał on, zrozumieć dziś po dwudziestu wiekach Ewangelii, co prorok ogłaszał na 700 lat przed przyjściem Jezusa Chrystusa“?

Ale dążenia pokojowe katolików francuskich nie odniosły pożądanego skutku. W krótkim czasie wybuchła wojna francusko-niemiecka. Francuzi ujrzeli z boleścią kraj swój w rękach najezdców, miasta zajęte i zniszczone. Paryż z powodu braku żywności zmuszony był poddać się w r. 1871. Niemcy zaanektowali Alzacyę i Lotaryngię. Katolicy, którzy przed paru laty głosili idee pokojowe, byli pobici i zaprzestali mówić na ten temat. W przeciągu 20 lat nie było już mowy o rozbrojeniu.

Z biegiem czasu umysły się uspokajały i rozpoczęto znów głosić hasła pokojowe. Tym razem jednak katolicy nie grali tu głównej roli, ale socyaliści, masoni, wolnomyśliciele kierowali tym ruchem. Większość jednak katolików ożywiona była duchem pokojowym. W r. 1898 gdy zatarg między Francyą a Anglią zdawał się być nieuniknionym z powodu Faszody, niektórzy biskupi nakazali odprawiać modły o utrzymanie pokoju. Pisma katolickie przeciwne były wojnie. Ale w kilka lat potem zmieniły się zapatrywania i usposobienie kraju. Sprawa Agadir'u zaniepokoiła Francuzów, którzy byli przekonani, że Niemcy przygotowują się do wojny. Wielu katolików mniema, że wojna jest, jak choroba i śmierć, czemś nieuniknionem i nie trzeba się łudzić możliwością wiecznego pokoju. Może ci mają racyę. Nie znamy dróg, któremi Bóg prowadzi ludzkość. Wojna jest bolesnem objawieniem, jak mawiał biskup Dupanloup, trzeba przyznać jednak, że jest złem. Obok czynów bohaterskich wywołuje ona zbrodnie, zniszczenie, demoralizacyę. Dobrzeby było, gdyby księża zajęli się akcyą pokojową, nie odstępując nieprzyjaciołom Kościoła prawa kierowania tym ruchem. Idea ta będzie bardziej zrozumiałą po wojnie, gdy nieszczęście przez nią sprowadzone będzie jeszcze bardziej widoczne. Wtedy należałoby przeczytać, co O. Gratry pisał o pokoju.

X J. Cavalier.

Bibliografia.

Kapłana opowieść kapłańska. — Kapłan w odzwierciedleniu twórczem wyobraźni polskiej, to zjawisko już bardzo dawne, sięgające dzieł Reja i Kochanowskiego. Lecz co dawniejsza literatura piękna powiedziała o kapłanie, to więcej obiter dicta, sylwetki wyrazistsze kapłanów i zakonników, pomijając „Monachomachię“ Krasickiego, pojawiają się u nas razem z okresem romantyzmu.

Króluje tu po nad wszystkiemi kreacyami potężna postać X. Robaka, genialne uosobienie swawoli i pokuty narodowej. Obok niego zajmują wcale niepoślednie stanowisko i X. Piotr z „Dziadów“ i X. Marek w „Konfederetach Barskich“. Ten to żołniersko-szlachecki kapelan pojawia się znowu, lecz zawsze inaczej pojęty i przedstawiony i u Słowackiego i u Rzewuskiego, aż wreszcie zgrzytliwe o nim echo drga jeszcze w dramacie Nowaczyńskiego, „Pułaski w Ameryce“.

Od czasów romantyzmu mamy już całą galeryę kapłanów i zakonników w poezyi i powieści naszej, a twórcami znani pisarze, jak Pol, Syrokomla, Kaczkowski, Straszewski, Jeż, Prus, Bałucki, Jeske-Choiński, Orzeszkowa, i — last not least — Sienkiewicz, wznoszący się swoim bohaterskim Kordeckim na niedościgłe wyżyny.

Z zadowoleniem można tu podkreślić, że do niedawna, pomijając niektóre powieści Kraszewskiego, jakoby antyjezuickie i kilku innych pisarzy, wyglądało ku nam z kart naszych poezyi proroczo natchnione lub dobrotliwie uśmiechnięte oblicze kapłana, patryoty lub przyjaciela domów magnackich i szlacheckich, ale także opiekuna ludu.

Za to w najnowszem piśmiennictwie naszem objawia się kapłan w mniej korzystnem oświetleniu. Wprawdzie dorywczo tylko czynny i pobieżnie skreślony, ale zawsze dużo tam w nim rysów przykrych, niekiedy bardzo przykrych. Nie twierdzimy, żeby nie było w naszej poezyi najnowszej w ogóle żadnych dodatnich typów kapłańskich, są choćby u Weyssenhofa, Stasiaka, a szczególnie promienieje „Ksiądz Piotr“ Tetmajera, ale przeważają typy ujemne. — I gdyby ktoś nie znający naszego duchowieństwa, na podstawie nowoczesnej literatury chciał sobie wytworzyć obraz o niem, byłby to obraz niedostateczny, a nawet ułudny i fałszywy. Autorzy różni, czy niechętni duchowieństwu, czy też nie znający go dobrze, ujemne wybierają i malują jednostki, jakiemi przecież są ci księża w poezyi Konopnickiej, w „Ragnarök“ Radziewiczówny, w powieści Brzozowskiego „Sam wśród ludzi“, w „Chłopach“ i piszącej się trylogii Reymonta, w „Weselu“ i „Klątwie“ Wyspiańskiego, w najnowszej powieści Żeromskiego, choć tu zresztą brat Albert dodatnio opisany. A jakiś nieziemski, dziwaczny wprost jest Micińskiego: „Ksiądz Faust“.

Słowem, potrzebaby nam wreszcie powieści, zajmującej się specyalnie życiem prawdziwego kapłana, czy ruchliwego duszpasterza, czy też skupionego samotnika, czegoś w rodzaju powieści „Mój nowy wikary“ i „Jakób Delmage“ Scheehawa, powieściopisarza irlandzkiego.

Próbą takiego portretu literackiego było studyum Tektandra „Moja pani“, gdzie jednak ksiądz odgrywa więcej rolę obserwatora, czasem zbyt drobiazgowego i sarkastycznego; ale nie brak i tu wielu kart głęboko wnikających w psychologię kapłana wielkomiejskiego.

Kapłana i w pierwszym rzędzie kapłana przedstawia nam „Pamiętnik wiejskiego księdza“ [1]), napisany przez wielkopolskiego kapłana-katechetę, który po ukończeniu studyów pracował w duszpasterstwie na zapadłej wiosce. Na kanwie oryginalnych rozmyślań snuje tu autor barwne pasmo wspomnień, spostrzeżeń, smutków i radości, zawodów i nadziei. Nie zamyka się jednak w sobie, lecz spoglądając wesoło, poważnemi oczyma dokoła, wprawną ręką kreśli sylwetki doktora i doktorowej, pani dworskiej i budowniczego miejskiego, słowem, inteligencyę świecką w stosunkach z duchowieństwem, a szczególnie typy proboszczów młodych i starych. Szkoda tylko, że ciasnym widnokręgiem objął przeważnie typy ujemne, czy to wiejskiego mizantropa, czy dobrodusznego Lukulla, czy też ascetycznego „dziwaka“. Nie szkodzi realizm, lecz czyż niema u nas wybitnych duszpasterzy nowoczesnych, niekiedy o zakroju Fidiaszowym, pełnych ochoty bojowej i promieniejących od zelus Domini? Szkoda dalej, że kapłan-autor wypowiada śmiało niekiedy zdania, które gorliwi katolicy świeccy nie śmieliby wypowiadać o swych pa-

[1]) X. dr. Z. Baranowski, Pamiętnik wiejskiego księdza. Poznań 1917.

sterzach, jak owe pytanie, czy kapłanowi wolno niekiedy przestąpić pewne przykazanie?

Nie wynika jednak z tego, żeby autor nie cenił sobie godności kapłańskiej, przeciwnie, właśnie z ukochania idealizmu kapłańskiego, który słonecznym blaskiem płonie w dziełku, płyną niektóre gorzkie uwagi. Rzeczywiście kapłan-poeta wysoko się wznosi w opisie ideałów kapłańskich, a osobliwie dziewictwa, kreśli na tle współżycia z przyrodą karty prawdziwie piękne. Wogóle posiada tę rzadką zdolność pisania pięknie i przystępnie, a nie beztreściwie, w prawdziwie poważnej szacie zamyka się głęboka myśl. Do tego dołącza się przedziwnie bystra obserwacya, zespolona z arcymiłym humorem, tryskającym z pogodnej, dziecięcej, nawet trochę naiwnej — w poglądzie na kobiety — duszy. Czemu autor nie pisze powieści o szerszym zakroju?

Słowem, rzecz, chociaż niewielka rozmiarami, wartością wewnętrzną znaczy się w dziejach naszej beletrystyki, więc ciekawie wyglądamy „Pamiętników miejskiego księdza". jakie autor podobno pisze. *X. N. Cieszyński.*

S. Windakiewicz. **Prolegomena do „Pana Tadeusza"**. Kraków 1918. Nakładem księgarni G. Gebethnera i spółki, 8-ka. str. 226.

Pomimo świetnej oceny naszej epopei przez Gostomskiego brakowało naszej literaturze naukowej studyum analitycznego nad „Panem Tadeuszem". Brakowi temu postanowił zapobiedz prof. dr. Windakiewicz, przynajmniej w zakresie problemów najważniejszych. Owocem tego zamierzenia jest książka, składająca się z dziewięciu rozdziałów, w których autor rozważa kolejno: czas pisania poematu, opis kraju, studyum starożytności, tradycyę ustną, wpływ literatury polskiej, tło historyczne, motywy powieściowe. Książkę kończy rozdział, zatytułowany „Od sielanki do epopei" i szereg uwag natury ogólnej. Na uwagę zasługują wszelako tylko dwa ustępy.

W ustępie pierwszym ustalony jest czas pisania poematu na podstawie korespondencyi Mickiewicza. Okazuje się stąd, że „Pan Tadeusz" został rozpoczęty w grudniu 1832 r., a skończony w lutym 1834 r. Mickiewicz jednak nie pisał go bez przerwy tak, że na zajęcie się „Panem Tadeuszem" pozostało mu tylko dziewięć miesięcy. Również rozwiana została tu legenda, jakoby Mickiewicz zasiadł do pisania poematu bez planu poprzednio ułożonego. Miał plan z góry przygotowany, tylko ogniwa poszczególne, a właściwie doniosłość ich dla całości uświadamiał sobie stopniowo wśród pisania.

Z rozdziału zatytułowanego „Opis kraju" okazuje się, że opis Litwy w „Panu Tadeuszu" nosi piętno poglądu naukowego z lat młodocianych poety. Odróżnił tu pracowicie prof. Windakiewicz miejscowości faktyczne od fikcyjnych, które zostały wprowadzone z czysto artystycznych względów. Jak zaś poglądy przyrodnicze Mickiewicza były zależne od poglądów współczesnej nauki, o tem świadczą objaśnienia, które dołączył do swoich opisów przyrodniczych. Co się tyczy wszelako materyału etnograficznego w „Panu Tadeuszu", to przyczynki, jakie przynosi nam książka prof. Windakiewicza, nie zbogacają bynajmniej tego, co dotąd w materyi rzeczonej było wiadome. Dopatrywanie się zaś analogii z ustępami „Ludu polskiego" Łukasza Gołębiowskiego, wykracza po za granice możliwości, dopuszczalnej w badaniu naukowem. Wreszcie przytoczenie teksto litewskiego pieśni o grzybach jest o tyle bezcelowe, ile że Mickiewicz, wzmiankując w dopiskach do poematu o takiej pieśni, nie mógł mieć na myśli pieśni litewskiej, tylko białoruską. Litewskiego bowiem języka nie znał.

W ustępie, poświęconym studyum starożytności, dowiadujemy się bardzo niewielu rzeczy, oświetlających istotnie problem powyższy w „Panu Tadeuszu". Są to — naszem zdaniem — drobiazgi bez znaczenia dla genezy poematu, wnioski zaś z nich wysnuwane prowadzą zanadto daleko tak, że znika granica między możliwością a przesadą. Z tego samego powodu jest więcej niż problematyczny rzekomy wpływ opowiadań anegdotycznych Rzewuskiego w „Pamiętnikach Soplicy" na „Pana Tadeusza". Wreszcie i w ustępie, traktującym o wpływie różnych naszych pisarzy na poszczególne zdania nawet w poemacie Mickiewicza, poszedł — naszem zdaniem — szan. prof. za daleko. Wzgląd powyższy zmusza nas też do pominięcia ustępu, traktującego o tle historycznem „Pana Tadeusza", jak nie mniej o motywach powieściowych w „Panu Tadeuszu". Wszystkie bowiem rzekome „wpływy" Walter Skota i Jean Paola na poemat Mickiewicza są fikcyjne i z równem prawdopodobieństwem możnaby mówić o wpływie tekstu „Modlitwy Pańskiej" na „Pana Tadeusza". Toż samo tyczy się rzekomych „wpływów" w rozdziale „Od sielanki do epopei". Nie dziw tedy, że wobec tak wybujałego hyperkrytycyzmu okaże się — zdaniem prof. Windakiewicza, iż żadna z postaci, oprowadzonych w „Panu Tedeuszu", nie jest oryginalna, że każda jest „wzorowana" na figurze, znanej skądinąd.

Książka prof. Windakiewicza może być dowodem jaskrawym, dokąd prowadzi metoda analityczna, stosowana bez należytego umiarkowania. *Dr. Stanisław Zdziarski.*

Wspomnienie pośmiertne.

Śp. X. Ludwik Schweiger.

X. Ludwik Schweiger, proboszcz z Otynii, zmarły na dniu 17. grudnia 1917 tamże, pochodził z Brodów, z rodziny zacnych mieszczan (ur. w r. 1871.) Po ukończeniu szkół średnich studyował teologię we Lwowie. Na kapłana wyświęcony pracował od roku 1896 na Bukowinie jako kooperator w Gurahomorze, w Serecie, skąd przeniósł się do Galicyi na probostwo, którem kierował przez blizko czternaście lat. Odznaczał się wszędzie gorliwością pasterską, rzudkością, niezwykłą odwagą i przytomnością umysłu. W Otynii zastał stosunki bardzo opłakane pod każdym względem. Zabrał się zaraz do restauracyi plebanii i zabudowań gospodarskich, aby mieć razem z X. katechetą przynajmniej zdrowy dach nad głową. Następnie podjął myśl postawienia nowego kościoła. Wielkie trudności były w tym względzie do pokonania. Stary kościół drewniany chwiał się na wszystkie strony, wiatr hasał od kąta do kąta przez liczne dziury w ścianach, oknach i dachu. Ponieważ parafia ta należy pod zarząd trzech starostw, więc rozpisanie i przeprowadzenie tak u panów jak i u ludu znienawidzonej konkurencyi na odbudowanie kościoła stawało się prawie niemożliwem. Dwa razy rozpisano konkurencyę; za każdym razem niechętni do dania grosza w tym celu obywatele wynaleźli rzekome niedokładności przy rozpisaniu tejże i obalili ją. Ufny jednak w pomoc bożą i pomoc dobrych ludzi z ludu chwycił się nieboszczyk fortelu, aby budowę na razie bez konkurencyi przecież rozpocząć, a niechętnych z czsaem do zgodzenia się na konkurencyę skłonić. Kościół chwiał się przy większym wietrze na wszystkie strony. Skorzystał z tego nieboszczyk; zwrócił uwagę starosty na niebezpieczeństwo zawalenia się kościoła. Starostwo zarządziło zamknięcie kościoła. X. proboszcz przeniósł Przen. Sakrament do prowizorycznej w tym celu już przygotowanej kapliczki na probostwie, przygotowawszy na to publicznie z kazalnicy parafian i zaprosiwszy ich na tę ceremonię.

Następnego dnia raniutko w poniedziałek zjawili się zamówieni ludzie z siekierami i w kilku godzinach kościół stary rozebrali. Niechętni budowie kościoła i od wielu lat sprzeciwiający się jej stanęli przed faktem dokonanym. Nie już nie pomogły ich hałasy, skargi i denuncyacye; musiało się nowy kościół budować. Ponieważ i teraz konkurencyę rozpisaną zwalono, musiał nieboszczyk oprzeć się tylko na dobrowolnych datkach. Z obywatelstwa dali cząstkę na nich przypadającej konkurencyi tylko niektórzy dobrowolnie a mianowicie: X. prałat Piaskiewicz ze Stanisławowa, Dr. Jeż z Weleśnicy, p. Łukasiewicz z Otynii, p. Linde z Czeremchowa; inni wcale nie poczuwali się do obowiązku przyczynienia się do budowy kościoła. Nieboszczyk sam świecąc przykładem, dał z lasu swego potrzebne drzewo, wypalił część cegły i przyczynił się większą kwotą zaraz w początkach.

Największą ofiarność okazał lud polski parafialny; przed wszystkimi odznaczyli się Mazurzy, mieszkający na Głębokiej; ci dali najwięcej; wielu z nich posyłało datki aż z Ameryki i Australii, gdzie przebywali.

Na tem miejscu, gdzie leżą zwłoki autora pieśni „Kiedy ranne wstają zorze" X. Franciszka Karpińskiego, wznosi się dzisiaj piękny, przestronny kościół w stylu gotycko-romańskim, według planu prof. Talowskiego, pod wezwaniem „Matki Boskiej wniebowziętej" i do-

minuje nad całą okolicą. Posiada też już ołtarz główny, balaski i kazalnicę. Następcy da Bóg wykończą jego urządzenie.

Obok pracy parafialnej w kościele, w kancelaryi, brał nieboszczyk udział czynny w pracy społecznej. Zajął się gorliwie Kółkiem rolniczem i jego sklepem chrześcijańskim, przez co naraził się na nienawiść żydowstwa; dążeniem jego było wyrwać lud z rąk lichwiarskich i zachęcić do zakładania sklepów chrześcijańskich. Przyczynił się także do założenia i rozwoju Sokoła. Aby dopomódz do rozparcelowania gruntów między gospodarzy polskich, kupił od żyda majątek Grabicz, chcąc przytem przeznaczyć około trzydziestu morgów pola i ogrodu bliżej dworku grabickiego leżących na zakład wychowawczy dla chłopców polskich w celu kształcenia ich w handlu, rzemiośle i rolnictwie w duchu — a jeśli możebną by było rzeczą — i pod zarządem XX. Salezyanów. Bóg nie dozwolił mu tego planu dokonać.

Kiedy wojna wybuchła, a zamieszanie i strach ogarnął wszystkich, przyczem potworne opowiadania o rzekomych okrucieństwach Rosyan krążyły od ust do ust, poczęli i najodważniejsi uciekać. Nieboszczyk pozostał na posterunku jako duszpasterz, by czuwać nad powierzonemi mu owieczkami w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa. Probostwo jego było podówczas schroniskiem dla uciekających ze wszystkich stanów. Proboszcz ich karmił, na nocleg przyjmował, przechował u siebie ich kosztowności i sprzęty. Przebył inwazyę rosyjską na miejscu w roku 1914 i 1915.

W ciągu tejże był pomocnym ludowi polskiemu, ruskiemu i żydom. Swoim taktem, spokojnem i rozumnem postępowaniem umiał zaimponować naszym wrogom tak, że chętnie próśb jego za uciemiężonym ludem słuchali i według jego rady nieraz dla dobra ludu postępowali. Musiał też Rosyanom, podobnie jak naszym wojskom, dawać mieszkanie na probostwie, musiał ich odwiedzać, a nawet gościć, bo tego wymagało jego stanowisko i ówczesne stosunki. Musiał też w kazaniach wystąpić przeciw niemoralności, rozszerzającej się wśród dziewcząt i kobiet, jakoteż przeciw rabunkom, dokonywanym przez ludzi nieuczciwych, gromiąc i zaklinając na Boga do poprawy. Kiedy szpieg austryacki w przebraniu u niego na probostwie się zjawił, przyjął go, nakarmił i przewiózł z narażeniem się własnego życia do ludzi zaufanych blizko frontu, a ci go przeprowadzili na stronę austryacką.

(Dok. nast.). *X.*

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Dnia 13-go b. m. będą przedmiotem obrad: 1. poświęcenie młodzieży szkół lwowskich N. Sercu Jezusowemu; 2. inne sprawy aktualne.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac

Mianowani: administratorem parafii Markowa X. Jan Kielar, po zwolnieniu od obowiązków kapelana wojskowego; X. Dr. Gerard Szmyd, zast. kat. w gimn. IV. we Lwowie, stałym kat. tamże.

Przeznaczeni na posady kooperatorów: X. Józef Kała do Koropca, X. Tomasz Gwóźdź do Kopyczyniec.

Przeniesieni XX.: Mieczysław Zawadzki z Toustego do Strusowa, Stanisław Wojciech z Kamionki strum. do Grzymałowa, Waleryan Raba ze Strusowa do Skałatu.

Dyecezya tarnowska.

Mianowany X. Henryk Weryński, zast. kat. w Szczawnicy, stałym katechetą tamże.

Na fundusz prasowy Tow. wz. pom. Kapłanów złożyli: XX. Józef Gryziecki (z Woli zarczyckiej) 123 kor., Franciszek Bardel (z Dąbrowy) 16 k. Wojciech Snieżnicki (z Brzeźnicy) 43 k. Dr. Antoni Cieślik (ze Lwowa) 23 k., Edward Tabaczkowski (z Tłumacza) 12 k — 0. 13 k. — Józef Świstek (z Milówki) 10 k. Franciszek Gosztyła (z Błażowej) 8 k Jan O'exik (z Podegrodzia) 23 k.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **X. Dr. Aleksander Pechnik.**

Z drukarni J. Chocińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy